

11. Miejska legenda: Nie można tak po prostu odejść

Oddech uspokoił się, wyrównał, a w pokoju zapadła cisza. Zasnął. Byłam w pokoju chłopaka, który zarządzał stroną. MOJĄ stroną. Tak, jak obiecałam Mikołajowi, zajęłam się tym. Cóż, to było dość męczące, ale myślę, że było warto. Porządnie wyprałam chłopakowi mózg i teraz po Miejskim Wampirze na *mordoksiężce* nie było śladu. Oczywiście, być może gdzieś tam, w czeluściach serwerów portalu z białym ef na niebieskim tle czały się archiwalne fotki jakie zrobiłam, czy wysłane wiadomości. Ale strony już nie było. Wystarczyło, że chłopak spojrzał w moje szmaragdowe, rozjarzone mocą mojej woli oczy, by być mi posłusznym. Tym razem nie użyłam jednak gniewu, więc było to nieco trudniejsze. I trwało dłużej. Ale byłam zadowolona z siebie. Chłopak posłusznie usunął pojedynczo wszystkie zdjęcia ze swojego komputera oraz z zapasowego dysku USB, całą mapkę z wszystkimi punktami moich ataków na Google Maps, a potem nawet swoje własne konto.

Teraz stałam przed jedną ze ścian w pokoju i patrzyłam na jego dzieło. Musiałam przyznać, że było to imponujące - chłopak miał na ścianie wielką mapę Wrocławia powieszoną na korkowej tablicy i mnóstwo szpilek z czerwonymi główkami, oznaczającymi każdy z ataków. W dodatku nawet pobawił się w łączenie kropek - od pierwszego, zarejestrowanego przeze mnie ataku aż do ostatniego była przeciągnięta czerwona nitka. Gdy przyjrzałam się mapie, zrozumiałam, że ostatni był ten przed moim atakiem na Igę - jej już nie było na mapie. Może to i lepiej? Naprawdę żałowałam, że zmarła, chciałam ją tylko nastraszyć i ukarać. Udałoby mi się, gdyby nie Mikołaj. Cóż... Wzruszyłam w końcu ramionami i zaczęłam demontować mapę. Najpierw zaczęłam wyciągać po kolei każdą ze szpilek, patrząc jak za raz za razem czerwona nitka opada coraz bardziej. W końcu zdjęłam cały plan Wrocławia i złożyłam go starannie na kilka fragmentów, by zmieścił mi się pod płaszcz. Raz jeszcze popatrzyłam na chłopaka i ruszyłam do wyjścia.

Drzwi zamknęły się za mną z cichym trzaskiem, gdy wyszłam przed blok. Trochę było mi żal, że nieodwracalnie zabiłam swoją legendę, ale wiem, że tak trzeba było. Kłując mnie w bok, poskładana mapa przypominała mi o tym, że czekał mnie jeszcze jeden obowiązek. Bez namysłu skierowałam się w stronę Parku Grabiszyńskiego. Miałam do niego najbliżej, poza tym lubiłam po nim spacerować. No i świetnie nadawał się do tego, co zamierzałam zrobić. Ledwie kilkanaście minut zajęło mi dojście do jego środka. Oczywiście, jak przystało na godzinę i temperaturę - był pusty. Bez trudu wypatrzyłam jeden z wielu koszy na śmieci, wybrałam ten, który był najmniej wypełniony. Włożyłam do środka mapę, ale tym razem zwiniętą w kulkę, po czym wyciągnęłam z wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza dwie małe czyste wódki. Powinno wystarczyć. Wylałam wszystko do środka i wyjęłam pudełko zapalek. Zapaliłam jedną i przez chwilę patrzyłam, jak mały płomyk schodzi z główki w dół, zwijając wypaloną zapalną w najdziwniejszy, czarny kształt koślawej, cieniutkiej kreski. Chyba fascynacja ogniem pozostała na zawsze. Zdmuchnęłam zapalną, czując już, że ogień zaczął palić opuszki moich palców, ale tylko wzruszyłam ramionami. Zregenerują się. Kolejna zapalną nie wzbudziła już mojej fascynacji, nasyciłam się widokiem. Zamiast tego przyłożyłam płomyk do bordowych główek kolejnych drewnianych drzemianek w pudełku. Zajęły się z głośnym sykiem i trzaskaniem niemal wszystkie od razu, a ja poczekałam, aż pudełko dobrze się rozpali i wrzuciłam do kosza. Miałam rację; alkohol wystarczył. Płomień buchnął gwałtownie, przez chwilę przybierając nawet niebieski odcień, by rozpalić się na dobre. Patrzyłam z zafascynowaniem, jak duże, czarne kawałki mapy ulatują wraz z gorącym powietrzem. Wyglądały jak przeciwnieństwo płatków śniegu - czarne, brzydkie i śmierdzące, unosiły się w niewielkich spiralkach w górę,

tylko po to, by wyjść z gorącego komina, odpłynąć na bok i opaść z powrotem na ziemię. Cierpliwie czekałam, aż cała zawartość kosza się wypali i ogień zgaśnie sam z siebie, a potem z drugiej kieszeni wyciągnęłam półlitrową butelkę wody. Z cichym sykiem pary zadbałam o to, by żar wciąż pozostający w metalowym koszu na śmieci nie wywołał czegoś więcej, niż zniszczenia tego, czego chciałam. W końcu lubiłam przecież ten park. Wreszcie odwróciłam się na pięcie i ruszyłam do wyjścia, jednak jak zawsze wybierając drogę na około. Lubiłam tutaj spacerować.

Idąc z głową w chmurach i ogólnie zadowolona z siebie, nie zwróciłam w ogóle uwagi na to, że ławka, do której się zbliżałam, była zajęta. Dopiero gdy postać wstała i stanęła na środku ścieżki, poczułam pewną nutkę niepokoju. Ale z drugiej strony... Byłam wampirem! Czy ktokolwiek czający się w parku na przypadkowego przechodnia był w stanie mi zagrozić? Absolutnie nie. Nawet więcej - byłam trochę głodna, kilka łyków mi nie zaszkodzi. Z uśmiechem więc uniosłam głowę i popatrzyłam dokładnie na postać stojącą już tylko kilka kroków przede mną. O kurwa. Wysokie, czarne kozaczki, czarne rastopy, czarna, tiulowa spódnica kończąca się poniżej kolan i biały jak śnieg t-shirt, z nadrukiem tak doskonale znanych ust Rolling Stone'ów, z których, poza językiem, wystawały również dwa białe kły. Nie widziałam twarzy kobiety, bo ta miała na sobie długi do połowy łydek płaszcz, nonszalancko rozpięty, ale za to z kapturem naciągniętym na głowę. Głowa kobiety poruszyła się, jakby zmierzyła mnie wzrokiem.

- Witaj, Maju. Stęskniłam się. - Usłyszałam miękki, aksamitny głos, który otulał mnie jak puchowa kołdra. Głos, który tak doskonale znałam i tak bardzo chciałam zapomnieć. - Czy może naprawdę wolisz imię Kamila?

- Cześć, Liwia. A ja miałam nadzieję, że już się nie zobaczymy - powiedziałam, spinając się cała. Czułam, że to spotkanie nie mogło mi przynieść absolutnie nic dobrego. Ostrożnie rozejrzałam się wokół samymi oczami, ale wydawało mi się, że byliśmy same.

- Prawie ci się udało. To było całkiem sprytne. Kupić bilet do Gdańska, zostawiając nam fałszywy ślad i przeskoczyć do pociągu w przeciwnym kierunku. Przetrzepaliśmy cały Gdańsk szukając ciebie, wiesz? - zapytała. Boże, jej głos. Staralam się jej nie słuchać, ale był taki miękki, aksamitny, otulał mnie jak puchowa kołdra. Miałam wrażenie, że mogłam słuchać, jak do mnie mówi, całymi godzinami.

- Chciałam odejść. I udało mi się - powiedziałam, ale tylko się roześmiała. Perliście, głęboko, całą sobą. I podeszła znów do mnie kilka kroków. Dzieliła nas już teraz tylko odległość wyprostowanej ręki.

- Maju... Moja droga, kochana Maju. Nie można tak po prostu odejść. Szukałam cię, na szczęście ktoś wpadł na twoją fejsbukową legendę. To było dość głupie, nie sądzisz? - zapytała. Wzruszyłam ramionami. Cóż, teraz widzę, że tak. Wtedy wydawało mi się wyjątkowo zabawne. A potem się samo zaczęło kręcić i jakoś nie mogłam przestać.

- Liwia, ja nie chcę wrócić. Nie wrócę. Nie ma takiej możliwości - powiedziałam, ale znów odpowiedział mi jej śmiech.

- Och, nie przyjechałam tutaj po ciebie. Przyjechałam tylko po tobie posprzątać - powiedziała i uśmiechnęła się. Wciąż usiłowałam dostrzec jej twarz, ale kaptur odsłaniał tylko czerwone, namiętne usta i skrawek nosa. Patrzyłam więc tylko na jej usta, które mówiły do mnie takim miękkim, aksamitnym głosem, otulającym mnie jak puchowa kołdra, którego mogłabym słuchać bez końca. - Spójrz - dodała, podając mi telefon. Bez namysłu zerknęłam na duży telefon. Jakiś film. Nacisnęłam na trójkąt i ruszyło. Poznałam nasze mieszkanie. Stół w kuchni. Telefon oparty o coś, lekko pod kątem. Na przeciwko Elwira. Patrzyła w kamerę tępym, martwym niemal wzrokiem. Poznałam od razu to spojrzenie. Takie samo, jak klienci w kawiarni, których namawiałam na dodatkową kawę. Albo chłopak, którego zmusiła do skasowania mojej strony. Elwira patrzyła przez chwilę, aż w końcu zaczęła mówić.

- Mam na imię Elwira. To ja jestem Miejskim Wampirem. Chciałam być lekarzem, bo od zawsze fascynowała mnie krew. Dlatego jej potrzebowałam. Napadałam na ludzi, by ją zdobyć. Wiedziałam, ile mogę bezpiecznie jej ukraść, by moje ofiary przeżyły. - Mówiła spokojnie moja przyjaciółka, a ja tylko

wpatrywałam się w film. Bez emocji. Nie były mi teraz potrzebne zupełnie do niczego. - Ostatnia dziewczyna to moja pomyłka. Musiałam coś źle policzyć. Ona miała przeżyć. Nie chciałam nigdy nikogo zabić, potrzebowałam tylko krwi. Dlatego postanowiłam się ukarać - dokończyła Elwira, sięgnęła ręką gdzieś za kadr po czym jednym, błyskawicznym ruchem przejechała lekarskim skalpelem po swoim gardle. Zrobiła idealne cięcie, ostrze rozplątało wszystkie cztery główne naczynia po obu stronach szyi. Krew chlusnęła strumieniem, ale Elwira tylko niewzruszenie odłożyła na bok narzędzie i nadal patrzyła w obiektyw kamery. Widziałam tylko, jak jej twarz robiła się coraz bardziej blada i blada, aż w końcu powoli, niemal majestatycznie, opadła na blat stołu i zsunęła się na podłogę, ostatecznie znikając z kadru. Film się urwał, a ja chciałam oddać telefon, ale poczułam nacisk czegoś na żołądek. Uniosłam telefon w górę, odsłaniając widok i zakląłam. Gładkolufowy obrzyn. Broń nie była byle jaka - potężna, myśliwska, dwururka z uciętą lufą tuż przed drewnianym, zapewne machoniowym łóżem. No kurwa. Spięłam się cała, adrenalina skoczyła, ale oczywiście było za późno na cokolwiek. Usłyszałam tylko dźwięki. Kliknął przełamywany spust. Kliknęła popchnięta iglica uderzająca o spłonkę. Zatrzeszczał zapalany wewnątrz naboju proch. Usłyszałam jeszcze wizg rozpędzających się pocisków ze śrutowego naboju. Kurwa, ależ byłam szybka. Zarejestrowałam to wszystko jako osobne etapy wystrzału, następujące jeden po drugim. A z drugiej strony byłam kolosalnie i przerażająco wolna. Klik-klik-trzask-puf. Broń wypaliła z przyłożenia, prosto w mój brzuch, pod kątem, lekko z dołu, ku górze. Poczułam, że wyleciałam w powietrze, przefrunęłam dwa, może trzy metry i rąbnęłam plecami o szutrową ścieżkę. Usiłowałam się poruszyć, ale coś było nie tak. Bardzo nie tak. Zaczęło boleć.

- Mam mało czasu, więc szybko ci wyjaśnię. Elwira, grzecznie przeze mnie poproszona, zamknęła kwestię twojej głupiej legendy. Zaopiekujemy się nią odpowiednio i zajmie w stolicy twoje miejsce. Moja strzelba ma specjalne naboje, w sam raz dla ciebie. Poddźwiękowy, śrutowy pocisk. W tej chwili w twoim młodym, seksownym ciałku znajduje się mnóstwo kulek, niewiele większych od ziarenka piasku. Każda jest z czystego srebra. Z pewnością już krążą wraz z krwią, docierając dosłownie wszędzie. Umierasz, Maju - powiedziała Liwia, a ja czułam, że to prawda. Czułam to doskonale. Usiłowałam się odezwać, ale z moich ust wydostał się tylko krwawy bulgot. Dosłownie czułam jak pluję krwią. Poczułam też, jak cała moja skóra zaczyna mnie swędzieć. Na początku delikatnie, ale z każdą sekundą bardziej. Zaczęłam się wiercić i wić na ziemi, czując, jak potworny, obrzydliwy gorąc rozplywa mi się po całym ciele. Liwia pochyliła się nisko nade mną. Coś do mnie mówiła, ale nie do końca to do mnie docierało.

- ...czego uciek...ś? Czy ...to ci t...k żł...? Miał... ws...tko. - Dochodziły do mnie tylko fragmenty jej słów. Miałam wrażenie że płonę od środka. Znów usiłowałam coś powiedzieć, ale słyszałam tylko własny charkot i czułam, jak z ust wydobywa mi się krwawa piana. Liwia uniosła się i zdjęła kaptur z głowy, pokazując mi twarz. Nie mogłam nie spojrzeć w jej opalizujące zimnym błękitem oczy. Kątem oka zauważyłam, że zaczynało się ściemniać, jakby coś obok nas wysysało światło. Nawet księżyc gdzieś zniknął. Liwia uniosła się i przed oczami zobaczyłam obciętą, lufę jej broni. Przerzucałam zamglony wzrok z jednej lufy na drugą, usiłując odgadnąć, która wypali. Klik-klik.

Cieszyłem się. Naprawdę. No bo ile człowiek może leżeć w łóżku? Chociaż, nie powiem, zastanawiałem się nad tamtą dziewczyną. I odruchowo spojrzałem w okno, ale oczywiście było puste. Pokręciłem głową. Nieważne. Jutro wychodzę. Wyszedłem z łazienki, po długim prysznicu, po czym położyłem się na łóżku. Po raz ostatni. Od jutra w domu. Zasnęłam bardzo szybko i bez problemu.

Obudziłem się gwałtownie i zanim się podniosłem, wiedziałem. To była ona. Po prostu wiedziałem. Chociaż nie, tak naprawdę to poczułem zapach. Delikatne, kobiece perfumy. Otworzyłem oczy i usiadłem na łóżku.

- Dzień dobry, Mikołaj. - Zaskoczenie. Kompletne. Zmierzyłem szybko kobietę wzrokiem. Wysokie, czarne kozaczki, czarne rastopy, czarna, tiulowa spódnica kończąca się poniżej kolan i biały jak śnieg t-shirt,

z nadrukiem tak doskonale znanych ust Rolling Stone'ów, z których, poza językiem, wystawały również dwa białe kły. Miała na sobie długi do połowy łydek płaszcz, nonszalancko rozpięty, z kapturem opuszczonym na plecy. Była ładna. Szczególnie jej opalizujące zimnym błękitem oczy. Cudne, fantastyczne, pociągające. Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy, chcąc złowić każde jej spojrzenie skierowane w moją stronę.

- Czy my się znamy? - zapytałem, patrząc w jej oczy. Nie umiałem i nie chciałem spojrzeć w inną stronę niż opalizujący, zimny błękit jej tęczy. Nie odpowiedziała od razu, ale tylko się roześmiała. Perliście, głęboko, całą sobą.

- Mamy wspólnych znajomych - powiedziała i znów skierowała na mnie swoje spojrzenie. - Mieliliśmy, w zasadzie - dodała, ale patrzyłem tylko w jej cudne, oszałamiające oczy, tak głęboko niebieskie, że w jej słowa nie miały dla mnie większego znaczenia. Byleby tylko patrzyła na mnie. Pochyliła się w moją stronę, jeszcze się zbliżając. Oczy, jej oczy, opalizujące zimnym błękitem. Nie umiałem myśleć o niczym innym.

- Powiedz mi, odpowiesz mi na jedno, proste pytanie? - zapytała. Kątem oka dostrzegłem jej bardzo namiętne, czerwone usta, t-shirt opięty na pełnych piersiach, ale nie oderwałem wzroku od jej oczu ani na moment. Ten opalizujący, zimny błękit. Po prostu cudny.

- Oczywiście - powiedziałem, samemu dziwiąc się, że tak długo zwlekałem z odpowiedzią. Przecież nie widziałem żadnych powodów dla których nie miałbym jej powiedzieć albo zrobić wszystkiego. Byleby tylko patrzyła na mnie tymi swoimi cudownymi, opalizującymi oczami.

- Powiedz mi, Mikołaj, czy to wszystko w ogóle ma jakikolwiek sens? - zapytała z uśmiechem. Nie odpowiedziałem, ale poczułem, jak zeszło ze mnie powietrze i wszystko wyczytałem w jej błękitnym, zimnym spojrzeniu opalizujących błękitem oczu. Oczywiście, że nie. Kompletnie nic nie miało sensu. Poczułem to całym sobą, każdą komórką mojego ciała. No bo tak naprawdę kim byłem? Prawie czterdziestoletnim policjantem bez sukcesów, którego rzuciła dziewczyna, nie umiejącym nawet rzucić palenia. Jasne, jest Wioletta, tak, ale kim ona była dla mnie? Lekarzem na początku kariery, a ja? Ledwie krawężnikiem, policjantem niemal najniższej rangi. Nie, totalnie. To wszystko w ogóle nie miało jakiegokolwiek sensu. Wstałem z łóżka, rozglądając się. Czuję, że muszę z tym zrobić coś teraz, natychmiast. Nie bardzo jednak umiałem znaleźć rozwiązanie, dopóki przypadkiem nie popatrzyłem na okno. Odwróciłem się w stronę Nieznajomej Błękitnookiej, ale jej opalizujące zimnym błękitem oczy zdawały się potwierdzać mój osąd. Błyskawicznie otworzyłem okno, stanąłem na parapecie i raz jeszcze spojrzałem na dziewczynę. Skinęła potakująco głową, jakby dając mi przyzwolenie. Tak, to wszystko w ogóle nie miało jakiegokolwiek sensu. Patrząc przez ramię w opalizujący, zimny błękit zrobiłem krok do przodu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 23.01.2020 11:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.